

szlub dawał mojej pani i przyniósł ze sobą wielgie skarby, jak pan gadał. Ale to ci powiem najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, że ten ksiądz to niby nie ksiądz i mnie się widzi, co ón wcale nie jest kapłan, jeno jakiś powsinoga i wielki oszukaniec. Nie miał ci na sobie sutanny ani nic takiego co księża mają, jeno był w kapocie jak jaki łyk z miasteczka i brodę se zapuścił jak pop ruski. Kiedym go zobaczyła zaraz mie coś piknęło kole szercza, że to jest oszukaństwo, a i moja pani też rozplakała się i ręce łamała i wołała: o! ja nieszczęśliwa, chyba śmierć mie czeka. Już cię jeżeli ten szlub nie był szlubem, to będzie bieda i wstyd, bo potrza ci wiedzieć najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, że moja pani też jest w takim stanie, jako ja, bez twoje zberezeństwo. Nieszczęśliwe my jesteśmy kobiety, ale ja cię całuję, chocia listownie i nie gniewam się wcale. Chyba, pedała moja pani, do klasztoru wstąpię, ale jakże może wstąpić do klasztoru, w takim stanie będący? Przyjmą ją to, czy co? Oj mężczyńska złość jest gorsza od wilka i psza wściekłego, jako ci to pedam najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, że jak wrócę do Krakowa, a ty szluby ze mną przed księdzem nie weźmiesz, to ci oczy wydrapię, bom się ju wstydu bez twoje zberezeństwo najadła, ale tera cię całuję i nie gniewam się wcale. C by się z namy stało, nie wiem i niech Pan Jezus broni, ale wczoraj rano mąż mojej pani i ten ksiądz a nie ksiądz, jak poszli gdzieś tak przepadli. Całusienki dzień na nich z moją panią czekamy, czekamy, a ich niema. Pani płacze i ja też beczę, bo mi żal było pani, a dopiero dowiadujemy się, że oba te lotry wyjechali se z Nowego Targu niewiadomo dokąd, ostawiając nas na łasce Boskiej. Dopiero to radość gdy jasny pan dziedzic, a dziadek mej pani przyjechał. Jutro, jak tylko mej pani lepiej się zrobi, zara jedziemy do Krakowa, a potem do Zamkowej Woli. Najdroższy szerczu mojemu Fonsiu czekajże mię w Krakowie, a kiedy tera wojna się skończyła, to się pewnikiem uwolnisz z wojska, i my się pobierzemy. Całuję cię i ściskam kochany Fonsiu, a za dziewczuchami nie lataj, niech cię Pan Jezus broni, bo bym ci twoje czarne ślepie wydrapała. A teraz ściskam cię serdecznie

Twoja żona

Zuzia.

XX.

Dalszy ciąg dziennika Julii.

Zamkowa Wola d. 15 października 1809 r.

Otworzywszy dziś szufladkę mego biurka, natrafiłam na ten dziennik, świadek lepszych dni mego życia, w którym już, ah, jak dawno już nic nie pisałam. Boże, jakże się wszystko zmieniło, jak się zmieniło, gdy poraz ostatni skreśliła na tych kartkach moje myśli i wrażenia. Gdyby mi ktoś dawniej był powiedział, że w ciągu kilku miesięcy losy moje, wyobrażenia, ideały i wogóle życie całe ulegnie takiemu przeobrażeniu, nigdybym mu nie uwierzyła. A jednak, nie jestem teraz ani panną, ani mężatką, ani wdową lub separatką, ale najnieszczęśliwszą, niezdecydowaną istotą! Za cóż mie tak karzesz Boże? jakie przekleństwo ciąży na tym zamku mych przodków, że kto tu zamieszka, ulega nieszczęściu? Czyżby krwawy cień mej praprababki, który niedalej jak przed miesiącem, w przeddzień zgonu mego drogiego dziadunia, znowu mi się ukazał... kładł piętno niedoli na wszystkich, a więc i na mnie, com jest ostatnia z rodu Dziaduskich?

Ostatnia? a moje dziecko, którego życie czuję pod mem sercem, czyż nie będzie nosiło tego nazwiska? Wszak urodzone z nieślubnego związku, nie może mieć innego. O! zbrodniczy, hańbą okryty mąż i nie mąż mój, najniegodziwszy z ludzi, coś mnie niewinną uwiódł, gdzie jesteś teraz? Czyż cię sumienie nie dręczy, żeś rzucił matkę twego dziecka i to dziecko niewinne! Ale czyż on może wrócić? wszyscy już dziś wiedzą, że to on popełnił kradzież skarbów świętokrzycznych i jak powiada pan Dziurkiewicz, listy gończe są za nim rozpisane. Tak! o ileż odemnie jest szczęśliwsza Zuzia, która nakoniec wzięła ślub, prawdziwy ślub ze swym kochankiem i jest teraz mężatką, a ja?

Nikogo już nie mam na świecie, dziadunio umarł i co mię najbardziej dręczy, że moje okropne losy przyczyniły się do jego śmierci, choć mi tego nigdy nie okazywał, ani najmniejszym słówkiem nie dał mi poznać, jak dalece dotknęła go moja lekkomyślność, a nadewszystko wstyd i plama, jaką rzuciłam na imię Dziaduskich. Ale, Boże mój, czy ja jestem temu winna? czy to, co się stało, stało się z moją wolą i świadomością? Gdy sobie przypomnę wszystkie okoliczności, towarzyszące tej strasznej, nieza-

pomnianej nocy, widzę, że działałam, oddałam się pod wpływem jakiegoś upojenia, czaru, jaki rzuciły na mnie jego ogniste, palące oczy... A później czyż mogłam mu się opierać, kiedy się to już raz zaczęło i na coby się zdał ten opór?

Ale poco ja to wszystko piszę, dla kogo? Zapewne, lżej mi się jakoś robi na sercu, gdy temu zimnemu papierowi powierzam me bóle i cierpienia, ale na co to wszystko? Taki już los kobiet z rodu Dziaduskich. Ich kalwaryę rozpoczęła moja praprababka, w cień zaklęta na obrazie mistrza Dolabelli, a ja ją kończę. I dlaczego, dlaczego, o Boże! ci Dolabellowie są naszym kochaniem i naszym nieszczęściem!

Dolabella! jakże słodko w mych uszach brzmi to imię. Przed kilku dniami odebrałam od pana Tomasza list, śliczny list, w którym ofiaruje mi swoją rękę. Czyż ja, skalana, nosząca pod sercem płód zakazanej miłości, mogę zostać jego żoną? Nie! nigdy! nigdy! Zeby nie to dziecię, którego drgania czuję w mem łonie, zagrzebałabym mój wstyd i moją hańbę w murach klasztoru, ale tak, jak jest, nie mogę tego uczynić. Czyste dziewice, poświęcone Bogu i modlitwie, odrzuciłyby mię skalaną, com kochanka nocami przyjmowała w mej alkoWie. Kochanka? Czy ja go kochałam? Nie! nie! po stokroć nie! To nie miłość była, to krew mej praprababki we mnie grała, to przekleństwo kobiet rodu Dziaduskich. Dziś, gdy zbadała z archiwum zamkowego przeszłość mego rodu, przekonywuję się, że wszystkie te w rotronach i czepcach, z różańcami w rękach damy, co surowymi postaciami tkwią na portretach w korytarzu zamku, wszystkie takie same były, wszystkie miały kochanków. To był i jest ród zwyrodniały, przeklęty do dziesiątego pokolenia.

Lecz poco ja to piszę i poco sama się rozdrażniam? Odpisałam kawalerowi Dolabelli, że nigdy, nigdy nie mogę i nie będę jego żoną. A jak płakałam, jak płakałam, pisząc ten list, zamykający na zawsze wszystkie dni mego szczęścia. Tak, będę pędziła życie ciche i samotne w tym starym zamku, gdzie na każdym kroku snują się widma przeszłości i będę czuwała nad mą dzieciną. Jeżeli to będzie dziewczynka, jakże jej strzedz będę, jak strzedz będę, by nie weszła w ślady kobiet Dziaduskich...

Ale dość tego! Poco to wszystko pisać?

Warszawa-Radom, styczeń-kwiecień 1912 r

K O N I E C.